

ROLA BRANIEWSKIEGO HOSIANUM  
W DZIELE ZESPOLENIA WARMII Z RZECZPOSPOLITĄ  
W W. XVI—XVIII \*

Dzisiejsza rocznica jest przede wszystkim słusznym tytułem do chwały dla diecezji warmińskiej. Jej seminarium duchowne jest najstarsze w Polsce i zalicza się do bardzo szczupłego grona najstarszych w całej Europie. Lecz dzisiejsza rocznica jest również bardzo bogatą w treść rocznicą. Zechcą czcigodni Słuchacze zwrócić uwagę choćby tylko na dwie związane z nią okoliczności. Jedną to radosny fakt, że ziemia na której obchodzimy nasze uroczystości rocznicowe, jak przed czterystu laty podlegała berłu królów polskich, tak samo dziś znajduje się w granicach odrodzonej Polski. Ma więc dzisiejsza rocznica swoją doniosłość nie tylko kościelną i żeby rzecz partykularną, ale narodową, ogólnopolską. Drugą okolicznością jest ścisły spłot i zaiste uderzająca zbieżność losów, doli i niedoli, z jednej strony seminarium warmińskiego, z drugiej jezuitów w tym seminarium przez lat dwieście zatrudnionych w charakterze wychowawców i profesorów. Albowiem dwa stulecia temu dokonany na Polsce gwałt pierwszego rozbioru, skazując seminarium wraz z całą Warmią na germanizację, zbiegł się dokładnie z katastrofą kasaty Towarzystwa w świecie, która jego ścisłą, tradycyjną więź z jezuitami całkowicie przecięła. Wcieleniu Warmii do Prus towarzyszyło więc zerwanie i tego związku z Macierzą, jakim była obecność i praca w warmińskim seminarium duchownym polskich jezuitów. Trudno się więc nie zadumać i nie snuć historycznych refleksji, w których nie układałyby się w organiczną całość trzy odrębne wątki, sprawy i idee: jedna to byt i rozwój diecezji warmińskiej, druga to w tej diecezji dwuwiekowa praca i działalność jezuitów, trzecia wreszcie to dobro i pomyślność całego narodu żywotnie zainteresowanego w pełnym zintegrowaniu terytorium Warmii.

Mam nadzieję, że nie popełnię niestosowności, jeśli dla uchwycenia wagi i znaczenia warmińskiego seminarium dla narodowej sprawy w przeszłości, ograniczę się do ubocznego jedynie naświetlenia tej kwestii, mianowicie poprzez próbę scharakteryzowania odpowiedniego wkładu całej fundacji Hozjusza. Sądzę, upoważnia mnie do tego fakt, iż wskutek organicznych i wielostronnych a wiekowych powiązań seminarium w braniewskim kolegium Towarzystwa Jezusowego, obie te instytucje miały w istotnej mierze wspólną historię i wspólnie tworzyły jedną niepodzielną domenę wpływów i oddziaływania. Nic nie ujmując ani pomniejszając istotnej roli czynników ściśle diecezjalnych, takich jak biskupi, kapituła i kler, ośmielam się jednak twierdzić, że seminarium warmińskie w pełni uczestniczyło w całokształcie tej historycznej roli, jaką jezuickie *Hosianum* odegrało na przestrzeni wieków od XVI do XVIII w dziejowym procesie zespolenia Warmii z Rzeczpospolitą.

\* Referat wygłoszony w Olsztynie z okazji 400 rocznicy Seminarium Warmińskiego dnia 25 XI 1967.

Pierwotne osadnictwo słowiańskie na wybrzeżu bałtyckim dotarło na wschód jedynie do ujść Wisły. Dla państwa piastowskiego miało to fatalne następstwa, ponieważ rozciągający się nad Zalewem Wiślanym kraj pomorski zamiast powiązać jego wschodnie obszary (Mazowsze) z Bałtykiem, posłużył za bazę wypadową dla wrogich sił, które w momencie powstania militarnej potęgi państwa krzyżackiego zagroziły mu wręcz zagładą. W XIV wieku Polska została przez te siły zepchnięta daleko w głąb lądu i całkowicie odcięta od morza. Przez półtora stulecia państwo zaliczające się w zlewisku bałtyckim do najbardziej z Bałtykiem związanych, nie miało w swym władaniu ani piędzi jego wybrzeża.

Zjednoczenie sił Polski i Litwy dało w rezultacie wygraną pod Grunwaldem i pokój toruński, dwa zwycięskie etapy na drodze do odzyskania dostępu do morza. Cieszyła się nim Polska przez trzy stulecia, w których jednak wywalczonej przewagi nie tylko nie potrafiła wyzyskać dla umocnienia swej nadmorskiej pozycji, ale stopniowo całkowicie ją zaprzepaściła, dopuszczając do ponownego odrodzenia się na terenie Pomorza Pruskiego wrogich sił niemieckiego imperializmu.

Hołd pruski był pierwszym z całego pasma błędów naszej polityki bałtyckiej, który zagroził drogę do wyzyskania możliwości stworzonych pokojem toruńskim. Sekularyzacja bowiem państwa krzyżackiego była równoznaczna z pozostawieniem w strefie najżywoźniejszych interesów Korony ośrodka niemieczyny wraz z wszystkimi tego stanu rzeczy konsekwencjami na przyszłość, z których najgroźniejszą było uchylenie furtki dla dynastycznych dążeń Hohenzollernów. Jakkolwiek więc zsekularyzowane Prusy Książęce XVI stulecia mogą w nas budzić niejaką sympatię jako „poważny ośrodek piśmiennictwa polskiego”, niemniej pamiętać należy, że ten sprzyjający polszczyźnie protestantyzm pruski stwarzał jednocześnie skuteczną zaporę dla wpływów pochodzących z Polski przez nadanie krajowi odrębnego pod względem wyznaniowym charakteru. Polityczny sens polonizacyjnej akcji Albrechta w w. XVI był ten sam co dokonywanej przez jego następców germanizacji w XVIII stuleciu. W obu wypadkach szło ostatecznie o to samo, to jest o wzmocnienie własnego państwa wraz z tkwiącą u jego podstaw tendencją do podboju polskiego zaplecza.

Wraz z hołdem pruskim rozpoczął się w wiekowym zmaganiu Polski z niemieckim imperializmem o dostęp do Bałtyku nowy rozdział, w którym zmierzyły się nie tyle dwie siły (jak pod Grunwaldem i podczas wojny 13-letniej), ile dwie polityki: czujna, skupiona, świadoma swych celów i dążeń dynastyczna polityka domu elektorów brandenburskich oraz zagubiona na bezmiarze wschodnich obszarów, uwikłana w zabiegi o tron szwedzki, i nad Bałtykiem niemal nieobecna polityka Rzeczypospolitej. Zwyciężyła naturalnie pierwsza. W ciągu dwu stuleci potrafił potulny lennik przedzierzgnąć się — wyzyskując każdą sposobność — w groźnego, a nawet najgroźniejszego ze wszystkich sąsiadów. Brak własnej, konsekwentnie realizowanej polityki bałtyckiej przypłaciła Polska rozbiarami.

Na ponurym tle politycznych klęsk zadawanych Polsce przez brandenburską dyplomację tym wyraziściej rysuje się korzystne zjawisko grawitowania ku ziemiom Rzeczypospolitej szerokich mas zamieszkującej Prusy Książęce ludności. W zjawisku tym nie było nic przypadkowego. Wynika-

ło ono z geopolitycznej struktury kraju przez ludność tę instynktownie wyczuwanej. W świadomym dążeniu — z rozmaitych motywów — wszystkich jej stanów do utrzymania i zacieśnienia związku z Rzeczpospolitą wyrażała się prawda, że pomyślny rozwój kraju jest możliwy jedynie w ścisłym zespoleniu ze swoim naturalnym zapleczem, tj. obszarem ziem rdzennie polskich, z którymi tworzył on jedną, zwartą i niepodzielną, zamkniętą w sobie całość. Szlachcie pruskiej uśmiechały się panujące w Polsce swobody obywatelskie, mieszczaństwu — zwiększone obroty handlowe, rozkwit miast i uprzywilejowana — na wzór Gdańszczan — pozycja u ujść Pregoly, jednych i drugich przerażało zejście do roli mało znaczącej prowincji brandenburskiego państwa, trapionej uciskiem podatkowym i tyrańskim systemem rządów.

Niestety, Rzeczpospolita nie potrafiła tych dążeń wyzyskać. Głosy Groebenów, Kalksteinów i Rothów pozostawiła bez odpowiedzi. Szansę inkorporacji Prus Książęcych za zgodą i na życzenie jej ludności tylekroć pogrzebała. Dynastyczna polityka Hohenzollernów zatriumfowała nie tylko nad Polską nieudolnością i polityczną ślepotą, ale także nad wolą pruskiego społeczeństwa. Dążnościom unifikacyjnym z jednej i drugiej strony położył kres w XVIII stuleciu naprzód gwałt germanizacji, następnie — rozbiórów.

Bezspornie jasnym punktem w tragicznych dziejach polskiej polityki bałtyckiej na wybrzeżu pruskim była Warmia, której losy potoczyły się w sposób tak odmienny od zsekularyzowanej reszty krzyżackiego państwa. Słusznie stwierdzono, że „aż do schyłku Rzplitej” stanowiła ona „ważną pozycję polskiej myśli politycznej”. Będąc bowiem „klinem posiadłości polskich w środku Prus krzyżackich, a potem książęcych”, odegrała rolę wysuniętego ku Bałtykowi bastionu dla obrony interesów Polski na jego wschodnim wybrzeżu.

Spełnienie tak pojętego zadania zależało, rzecz jasna, od stopnia zespolenia ziemi warmińskiej z Koroną. Na drodze do niego nie było na szczęście największej przeszkody, jaką by niechybnie była stworzyła sekularyzacja tego kraju. W połączeniu z właściwym temu krajowi duchem separatyzmu i poczuciem niemalże narodowej odrębności, sekularyzacja taka byłaby mu mogła zgotować los nie mniej fatalny niż lennu Hohenzollernów. Ocalenie katolicyzmu na Warmii tymczasem stworzyło pomyślną perspektywę dla jej pełnego zrośnięcia się z katolickim zapleczem ziem macierzystych. Warmińskie władztwo kościelne okazało się bez porównania bardziej podatne na wpływy polityczne Polski niż — świeckie w Prusach Książęcych. Każdorazowy wakans na stolicy biskupiej czy stanowisku kapitulnym otwierał tym wpływom drogę do interwencji. Z pełnym powodzeniem działały tu one w kierunku przełamania prawa indygenatu ziemskiego przy obsadzie urzędów. W wyniku sukcesu konsekwentnej polityki polskiej, Stanisław Hozjusz — poprzedzony przez dwóch wiernych królom Gdańszczan: Ferbera i Dantyszka — otwiera długi szereg biskupów warmińskich, którzy indygenatem wykazać się nie mogli. Rola w zespoleniu Warmii z Koroną tych narzuczanych przez Polskę biskupów i kanoników kapitulnych jest zbyt dobrze znana, by się trzeba dłużej przy niej zatrzymywać. Mniej znana natomiast jest rola trudniejszych do uchwycenia stosunków społecznych i rozlicznych związków kulturalnych, które kształtowały i pogłębiały w psychice Warmiaków poczu-

cie wspólnoty z Polską, stając się nawet źródłem polskiego, choć swoistego typu, patriotyzmu.

Jednym z takich mniej znanych, a jeszcze mniej docenianych związków kulturalnych między Polską i Warmią była właśnie działalność braniewskiej instytucji Hozjusza, która pełniła swą funkcję jednoczącą nieprzerwanie przez lat dwieście, to jest w okresie zamkniętym zarówno pierwszym rozbiorem Rzeczypospolitej jak i kasatą zakonu jezuitów. O tej jego funkcji w dużej mierze przesądził fakt, że instytucja ta była nie tylko kontrolowana przez polskich i ściśle z Polską związanych biskupów warmińskich, ale i przede wszystkim — organicznie niejako włączoną w nurt polskiego życia.

Przyczyną tego była właściwa zakonowi jezuitów organizacja nie dopuszczająca w pewnym sensie do wyrobienia się w poszczególnych placówkach (kolegiach, rezydencjach i misjach) cech indywidualności czy ekskluzywności, organizacja przeciwna wszelkim tendencjom — cechującym np. wielkie klasztory mnisze z ich zasadą *stabilitatis loci* — ku autonomii i samowystarczalności. Własne, indywidualne oblicze ma u jezuitów nie dom, ale właściwie dopiero zakonna prowincja — to jest pewna liczba placówek rozsianych na obszarze objętym władzą tzw. prowincjała. Granice tego obszaru z reguły pokrywają się z granicami bądź państw, bądź w ramach jednego państwa — jakichś wyodrębniających się regionów. W granicach takiej zakonnej prowincji upływa całe życie ogromnej większości jej członków. Z jej terenu pochodzą — wnosząc do zakonu ten sam język lub dialekt, te same zwyczaje i tradycje — na jej terenie odbywają swój nowicjat i studia i na jej terenie również pędzą dalsze lata życia, ustawicznie zmieniając miejsce pobytu i otoczenie. W rezultacie jezuita żyją bardziej życiem swej prowincji niż domu, w którym zazwyczaj są tylko gośćmi, co w konsekwencji prowadzi do ujednoczenia życia we wszystkich domach. Zbędne jest dodawać, że na tym życiu wyciska swe piętno terytorium, na którym się rozciąga prowincja.

Otóż od samego początku istnienia kolegium w Braniewie uważali je jezuita za pierwszą placówkę tworzącej się nowej prowincji zakonnej na terytorium podległym berłu króla polskiego. Innymi słowy, w systemie organizacyjnym zakonu znalazło się Braniewo od razu w granicach prowincji rozciągającej się na cały obszar Rzeczypospolitej, a jego kolegium zostało tym samym włączone w organizm, w którym pulsujące życie — życie prowincji — było życiem polskim. Zatem przez dwieście lat przepływał przez mury braniewskiego kolegium nieprzerwany nurt tego właśnie życia z jego językiem, kulturą, zwyczajami, tradycjami i patriotyzmem, słowem — wszystkiego, co z polskiej gleby wyrosło i na niej się krzewiło. Niewiele więc, jak widać, było szans w tym stanie rzeczy, by kolegium uległo jakiejś „asymilacji” na rzecz miejscowych, niechętnych Polsce żywołów. Dzięki tętniącemu w nim życiu, bez przerwy zasilanemu z Polski poprzez wewnętrznoorganizacyjny „układ krążenia” miało ono w swej roli eksponenta polskiej kultury zapewnioną długotrwałą żywotność.

Rzecz znamienna, że roli tej kolegium było wierne już wtedy, kiedy w jego murach nie gościł jeszcze ani jeden jezuita narodowości polskiej. Gdy w pierwszych miesiącach po otwarciu szkoły uczyniono tu próbę — pierwszą i ostatnią — nadania jej ekskluzywnego charakteru instytucji

służącej na wyłączny użytek ludności miejscowej, a zamkniętej dla uczniów polskich i z Polski przybywających — władze zakonne natychmiast i bardzo stanowczo położyły kres takiej tendencji. Wbrew zdaniu prefekta szkoły, jezuita Szymona Hagenau, Prusaka z Lidzbarka (w którego postępowaniu doszedł do głosu miejscowy separatyzm), widziały one w tłumnym napływie młodzieży z Polski zjawisko prawidłowe, a także pożądane, bo przysparzające jezuitom dobrej sławy na terenie ich nowej prowincji. Wkrótce jezuita braniewscy włożą dużo starań w urządzenie konwiktów na wyłączny użytek tej młodzieży. Pójdą w tym na przekór mieszczaństwu Braniewa, niechętnie przyjmującemu na stancję Polaków. Troska i zabiegi o zapewnienie sobie stałego ich napływu stanie się trwałą cechą uczelni. Gdy z początkiem XVIII stulecia podjęte zostaną wysiłki podniesienia jej do poziomu akademickiego, moment, że podniesie to jej atrakcyjność w ich oczach, wysunięto jako jeden z argumentów.

Przybywała tu młodzież z Polski, nieraz z najbardziej odległych stron Rzeczypospolitej, znęcona okazją nauczania się języka niemieckiego. Ceniono go sobie w czasach, kiedy kontakty z Gdańszczanami i zagranicznym kupiectwem nabrały dla szlachty szczególnego znaczenia. Dla katolików było kolegium tym atrakcyjniejsze, iż dając tę okazję wykluczało niepożądane wpływy religijne. Toteż mimo że wkrótce powstały w Polsce inne kolegia i ilość ich rosła z każdym dziesięcioleciem — frekwencja nie malała i utrzymywała się na stałej wysokości aż do pierwszego rozbioru.

Prowadziło to do skierowania uwagi szeregu przyszłych wpływowych osobistości w kraju, które w nim pobierały naukę, na problematykę Polski nadbałtyckiej. Np. jednym z wybitniejszych biskupów warmińskich był dawny uczeń kolegium braniewskiego, Mikołaj Szyszkowski. Jego zaś szkolny kolega Paweł Sapięha okazał się w najcięższych chwilach Rzeczypospolitej w czasie potopu szwedzkiego, przeciwieństwem zdrajcy, Janusza Radziwiłła. Wydobyć z mgły zapomnienia nazwisk uczniów polskich, którzy przewinęli się przez Braniewo, zarówno tych bardziej, jak i mniej „znakomitych”, aby móc się przekonać, czy i jak wielce, wpływał ten fakt na ich późniejszą działalność i poszerzenie horyzontów politycznego myślenia — będzie wymagało pracy. Jedno wszakże można podkreślić już teraz: między nimi a ich profesorami i wychowawcami utrzymywała się żywa więź jeszcze długie lata po opuszczeniu szkoły. Oto jeden z nich, niejaki Adam Motkowski, publikując w licznych wydaniach wykłady swego braniewskiego profesora, o Michała Radau, w książce pt. *Orator extemporaneus* (Amstelodami 1661), zaznacza w przedmowie, że czyni to nie tylko z własnego popędu, ale i świadom, że jest to życzeniem „wszystkich tych, którzy teraz jeszcze mogą się słusznie nazywać jego słuchaczami i uczniami, a z których większość stanowią wielmożni magnaci, znakomici prałaci oraz osobistości z otoczenia książąt i królów”. A co ta więź mogła oznaczać w dobie ważących się losów lenna pruskiego, świadczy fakt, iż wymieniony wyżej jezuita był najwybitniejszym z szeregu jezuitów misjonarzy w ... Królewcu.

Lecz jak się dokonywało „polszczenie” życia kolegium w tej jego części, którą stanowili nie uczniowie, ale ich profesorowie i wychowawcy, słowem sami zakonnicy składający się na jego obsadę?

Przysłani do Braniewa w 1564 r. jezuita byli wszyscy cudzoziemcami i przez kilka następnych lat uzupełniano ich szeregi również cudzoziem-

cami. Jednakże rzymskie władze zakonne uważając ten stan rzeczy za zbyt uciążliwy dla innych prowincji oraz kolidujący z zasadą samowystarczalności każdej z nich — doprowadziły do utworzenia tu wkrótce nowicjatu (1568). W ciągu następnych 20 lat (w 1587 r. nowicjat przeniesiono do Krakowa) zdecydowaną większość nowicjuszów stanowili Polacy przybyli z najodleglejszych krańców Polski, częściowo rekrutujący się spośród konwiktorów. Ponieważ jedynym językiem, jakim mógł się z nimi porozumiewać mistrz nowicjatu, Szkot, Robert Abercromby, była łacina, wynikały więc liczne trudności w wypadku, gdy polscy nowicjusze nie znali dostatecznie tego języka. Gdy więc tylko otworzyły się możliwości ściągnięcia do Braniewa jezuitów narodowości polskiej, nie omieszkanono uczynić tego natychmiast, by ratować byt nowicjatu. Kiedy zaś go tu zabrakło, stałym motywem zapotrzebowania na nich w obsadzie kolegium będą polscy uczniowie, potrzebujący spowiedników, egzortatorów, moderatorów sodalicji mariańskich i wychowawców biegle władających ich ojczystym językiem. W katalogach personalnych kolegium, ojcowie pełniący powyższe funkcje noszą w ogromnej większości polskie nazwiska i pełnią jeszcze zazwyczaj obowiązki „polskiego kaznodziaci”.

Z latami polonizacja obsady kolegium pobiegnie innymi jeszcze torami. Przede wszystkim wymrze pokolenie cudzoziemców-pionierów. Ich miejsce — Niderlandczyków, Niemców, Szkotów i Anglików — zajmą jezuiti rodem z Warmii, z Prus Królewskich czy nawet Książęcych, uformowani na zakonników w polskiej prowincji. Z samego początku tych „pruskich” powołań było mało. Wystarczająco jednak, aby po dwudziestu latach istnienia kolegium mogli stać na jego czele i w nim pracować rodowici braniewczycy i to tacy, którzy od dzieciństwa pobierali w nim naukę. Później w miarę coraz większych postępów czynionych przez katolicyzm na Warmii, ilość miejscowych powołań będzie rosła w uderzający sposób, co sprawi, że w w. XVII, a zwłaszcza XVIII, większość domowników stanowić będą rodowici Warmiacy, niejednokrotnie z rodzin tradycyjnie z zakonem związanych.

Nasuwa się pytanie, jak się kształtował ich stosunek do Polski. Odpowiedź bardziej wyczerpującą dadzą źródła, które jeszcze czekają na zbadań. Tymczasem niech wystarczy za pewną wskazówkę wybrany na chybił trafił przykład *curriculum vitae* mówiącego po niemiecku Warmiaka, za okres jego zakonnej formacji.

Franciszek Rochell, ur. na Warmii w 1721 r., wstępuje do zakonu w wieku lat 17, nowicjat odbywa w Wilnie, stąd po dwóch latach udaje się do Grodna na trzyletnie studia filozoficzne w miejscowym kolegium, po nich pełni jakiś czas obowiązki nauczycielskie w Drohiczyńcu, następnie w Warszawie studiuje cztery lata teologię, po czym na przeciąg jednego roku przenosi się do Nieświeża, by wreszcie ostatnie kilka lat swego młodego życia przepędzić w kolegium pińskim, pracując jako profesor przedmiotów humanistycznych. Oto typowy przykład, jak przebiegało to życie ogółu współplemieńców Rochella, zanim było im dane przystąpić do pracy w ojczyźnie: Braniewie, Reszlu, Św. Lipce czy w Królewcu. Upływało, jak widać, przez lat kilkanaście w nieprzerwanym kontakcie z Polakami, polską kulturą i polskim językiem.

Jak dalece to ostatnie było prawdziwe, niech zaświadczą również przykłady. O niejaki Janie Marcelli, rodem z Prus (1657—1708), pisze za-

konny biograf, O. J. Poszakowski: „już w nowicjacie pałając wielką gorliwością o dusz zbawienie tak doskonale nauczył się języka polskiego, że stał się znakomitym polskim kaznodzieją...”. Ten sam autor chcąc podkreślić wybitne zdolności pewnego młodo w zakonie zmarłego braniewczyka nazwiskiem Kryspin Eisemblaetter (wstąpił w r. 1698), pisze co następuje: „w bardzo krótkim czasie opanował język polski, ponieważ po odbyciu nowicjatu, będąc zaledwie słuchaczem filozofii, potrafił wygłosić kazanie, jakie scholastycy mają zwyczaj wygłaszać w refektarzu, z zadowalającą poprawnością”. Michał Ignacy Hintz (1675—1727), również rodem z Warmii wyniósł z domu rodzinnego, podobnie jak tamci, dokładną znajomość jedynie języka niemieckiego, lecz i jemu ta sama zakonna formacja pozwoliła opanować polszczyznę w takim stopniu, że stał się jednym z najznakomitszych mówców polskich epoki saskiej. M. in. pełnił obowiązki polskiego kaznodziei w Reszlu.

Nic zatem dziwnego, że wśród tych jezuitów pruskiego pochodzenia noszących nazwiska niemieckie, mówiących w domu po niemiecku, w wieku XVII, a zwłaszcza XVIII nie było już takich, którzy by w mniejszym lub większym stopniu nie znali również języka polskiego. Było więc zupełnie inaczej niż w samych początkach działalności kolegium, kiedy to jedyny jezuita Warmiak, wspomniany wyżej Szymon Hagenau, języka polskiego nie znał zupełnie. W wieku XVIII na podstawie danych katalogowych możemy nawet z całą pewnością stwierdzić, że spora liczba zamieszkujących kolegium jezuitów, z pochodzenia rodowitych Warmiaków, — rodem przeważnie z Braniewa — włada językiem polskim na równi z niemieckim. Takimi są Jan Antoni Preuschhoff, Urban Alshut, Jerzy Stilmacher, Józef Plaht, Maciej Neuemann, Michał Nahser, Jan Burcherdt, Paweł Nizwandt, Piotr Cimmermann (bądź Cymmermann, zawsze jednak przez „C”), Szymon Keychel, Abraham Kretzman, Jan Freitagk, Jan Schwartz, Jan Krebs, Michał Schultz, Jakub Popihn, Jan Hartmann i Filip Schmidt. Jan Plastwich zna ponadto jeszcze trochę francuski, Jan Wagner — włoski, natomiast Antoni Klein — litewski. Mniej dziwi, rzecz jasna, dobra znajomość polskiego (obok niemieckiego) u rodowitych Warmiaków z polskimi nazwiskami, jak Karwacki, Rogalla, Szostakowski, Zarembski, Rymkiewicz, Woyczyński. Jednakże z drugiej strony taki Franciszek Bartnicki, Józef Franciszkowski, Jerzy Stanisławski czy Stefan Kuchenowski przyznają się tylko do niedoskonałej znajomości języka polskiego. Za to podający się również za Warmiaka Michał Lorkowski w ogóle nie umie po niemiecku. Dodatkowe światło na kwestię stosunku jezuitów-Warmiaków do polszczyzny rzuca fakt, że mieszkający obok nich w braniewskim kolegium (w w. XVIII) rodowici Polacy z reguły nie znają niemieckiego. Do nich należą także niektórzy rektorzy, jak np. Teofil Zabłocki w r. 1723 czy Ignacy Żaba w 1770 r. — rzecz nie do pomyślenia jeszcze w wieku poprzednim, gdy jezuiti na tym stanowisku wszyscy bez wyjątku władali doskonale tym językiem. Lecz co najdziwniejsze to fakt, że w r. 1770 na czele kolegialnej oficyny drukarskiej (*praeses typographiae*) stoi niejaki o. Jakub Linkenheir (*Borussus*), który w pełni włada językiem polskim i łacińskim, natomiast tylko słabo — niemieckim (*callet linguam latinam, polonicam et germanicam imperfecte*).

Z kolei wypada się zastanowić, czy, i jak, dokonywało się duchowe

zjednoczenie z Rzeczpospolitą u zakonników dorosłych. Wymieńmy kilka przykładów. — Urodzony w Braniewie Fryderyk Bartsch (1552—1609), syn tutejszych mieszczan, uczeń szkół braniewskich, wstępuje do Towarzystwa w Rzymie. Po powrocie do Polski pełni przez lat dziesięć obowiązki rektora braniewskiego kolegium (1582—1592). W r. 1598 staje na czele wydzielonej nowej prowincji litewskiej. Z tego urzędu powołuje go Zygmunt III na stanowisko spowiednika. Jest nim Bartsch aż do śmierci, to jest do r. 1609, kiedy to pod Smoleńskiem opatrując chorych na tyfus żołnierzy, sam padł ofiarą choroby. Pisz o nim Skarga w przedmowie do *Wzywania do Pokuty Obywatelów Korony Polskiej i W. Księstwa Litewskiego*: „Miałem na dworze króla J.M. Pana naszego [M.] towarzysza miłego X. Friderika Barsciusa, spowiednika królewskiego, przez lat więcej niżli ośm. Ten patrząc na jawne grzechy tego Królestwa, w którym się urodził i dobrze go świadom był, i onej świadomości, przy królu mieszkając, przyczynił: ten namawiał mię często, zwłaszcza roku tego, którego drogi tej dokonał, abych powszechnie upominanie do ludzi Korony tej na piśmie podał, wzywając ich do pokuty, a Karanie Boskie bliskie ukazując. Mówilem mu, że to uczynił w Kazaniach Sejmowych. Odpowiadał, że te kazania w księgach są wielkich, które rzadko kupi: potrzeba co krótkiego, zręcznego, ludziom darmo bez pieniędzy podmiatać. Wzruszyłem się jego mową, znając wielkie cnoty i nabożeństwo jego i miłość ku czci Bożej i ku duszom ludzkim i ojczyźnie...”.

Obok Bartiusa wymieńmy jeszcze jednego Warmiaka z tego najwcześniejszego okresu, który podobnie jak on za pośrednictwem kolegium oddał się całkowicie na usługi Rzeczpospolitej. Chodzi tu o Feliksa Schipperera, znakomitego rzeźbiarza, rodem z Ornety, który wstąpiwszy do nowicjatu w Braniewie w r. 1575 (mając 33 lata) oddawał się przez siedemnaście lat twórczości artystycznej jako brat zakonny. Swoją działalnością wypłynął na szerszą widownię Polski z wielkim pożytkiem dla kultury; całe lata wypełniły mu prace w kościołach niemal wszystkich kolegiów polskich, zwłaszcza w Jarosławiu i Krakowie, gdzie jego dziełem były ołtarze kościołów św. Barbary, Stefana i Macieja.

Oprócz wymienionych było wielu innych, którym zdolności i znajomość języka niemieckiego torowały drogę na dwór królewski. Spowiednikami tam byli Fabian Quadrantinus nawrócony przez jezuitów w Braniewie, Prusak ze Starogardu († 1591), Jakub Marquart († 1658), Szymon Berent (także znakomity muzyk, † 1649), Jerzy Leyer, który będąc spowiednikiem Jana Kazimierza sprzeciwiał się jego wstąpieniu do Towarzystwa, wreszcie Andrzej Klinger († 1664) i Grzegorz Schoenhoff († 1667), duchowi kierownicy i wychowawcy Władysława IV, Karola Ferdynanda i Albrechta. Podobną funkcję pełnili na dworach biskupich i możnowładczych np. Tobiasz Arent († 1724), Jan Bruns († 1671), Tomasz Kritzki († 1745), Jan Ellert († 1669), Szymon Tadeusz Keychel († 1746) i wielu innych. Przełożonymi prowincji, rektorami w Warszawie i Wilnie byli — prócz wymienionych Klingera, Arenta, Schoenhoffa, Marquarta i Bartscha — jeszcze Jan Rywocki, Jan Błaszowski, Jan Berent, Grzegorz Schill, Jan Drews, Andrzej Nakiel, Michał Radau. Godne jest uwagi, że mało który z wymienionych nie rządził lub przynajmniej nie pracował w kolegium braniewskim. Wreszcie spośród najwybitniejszych profesorów, uczonych i pisarzy na wymienienie zasługują Jan i Marcin Briccius,



Tomasz Clagius, Jerzy Klaus, Jan Henrickson, Jan Kariger (autor zagi-nionego słownika polsko-łotewskiego), Michał Kirchstein, Oswald (mate-matyk), Zygmunt (humanista) i Andrzej (teolog) Kruegerowie, Jan Anto-ni Preuschoff, Eustachy Reuther.

Wszystkich wymienionych — a iluż w tym pobieżnym przeglądzie po-miniętych! — zakonne życie wyprowadziło jak widać z warmińskiego partykularza na szeroką widownię Rzeczpospolitej, rozszerzyło horyzonty myślowe, kazało otrzeć się o wielki świat, z bliska dotknąć spraw i zagad-nień z samego centrum ówczesnego życia państwowego, narodowego i kulturalnego. Czyż mogło w tych warunkach nie wyrobić się w nich głębokie poczucie wspólnoty z tymi, z którymi przyszło im przez lata obcować, wspólnie pracować i ponosić trudy dla dobra, które było prze-cież dobrem Rzeczpospolitej? Czy mamy przypuścić, że byli obojętni, gdy ich bezpośrednie otoczenie smuciło się z powodu klęsk narodowych lub radowało zwycięstwami? Czyż wspólnie ponoszone ofiary i znoszone cier-pienia zadawane przez wroga pastwiącego się nad krajem nie przywiązy-wały do niego ich serce, budząc w nich — jak u Bartiusa — żywe uczucie miłości do królestwa, w którym się urodzili? — O tak, wszyscy ci Mar-quarci, Berenci, Leyerzy i Klingerzy — dziesiątki lat trawiący na pol-skim dworze — nie mogli mniej niż Bartius kochać polskiej ojczyzny. Tak samo twórcy panegiryków na cześć polskich królów — Zygmunt Krueger i Andrzej Rosenwald — o tyle tylko w ogóle mogli je układać, o ile w ich piersiach biło serce polskie. A cóż, jeśli nie duma Polaka, kazała misjonarzowi z Królewca, Hermanowi Holtzowi upomnieć się wo-bec elblążan o honor Rzeczpospolitej? I cóż, jeśli nie szczery patriotyzm, ożywiał kapelanów wojsk polskich, Jana Brauna, Bartłomieja Moellera a zwłaszcza Jana Freundta, idącego dobrowolnie wraz z wodzem, polskim hetmanem, do niewoli, by mu w niej wiernie towarzyszyć przez pięć lat?

Lecz oto książka pt. *Fasti Societatis Iesu, Res et personas Memorabiles eiusdem societatis etc.* (Brunsbergae 1722), pióra jednego z najznakomit-szych Braniewczyków w zakonie, Jana Drewsa (1646—1710), profesora, wychowawcy, organizatora teatru w Braniewie, wreszcie kierownika kolejalnej drukarni (z której — *notabene* — wychodziły prócz łacińskich i niemieckich także i polskie druki), książka, która mimo swego charak-teru religijnego pełna jest również wspomnień historycznych, owianych nastrojem szczerego patriotyzmu polskiego. W oczach jej autora Batory to *rex gloriosus* lub *gloriosissimus*, wojujący z nim Gdańszczanie to *rebelles*, jezuici z całego obszaru Rzeczpospolitej — *Societas Polona*. Wzrusza go przepowiednia z 1657 r., że *Polonia in integrum restituetur*, zachwycają kazania Skargi, „które choć corocznie czytane w naszych refektarzach, nie przestają nigdy podobać się i wzruszać”.

W *Institutiones iuventutis* (Brunsbergae 1704) tenże autor ucząc, jak należy prozą naśladować poetów, przytacza naprzód piątą odę z czwartej księgi *Liryków* Sarbiewskiego, w której znakomity poeta łaciński w przejmujących słowach (przekład ks. Jana Rosiaka TJ) maluje bez-miar pohańbienia narodu, nie umiejącego obronić swych granic, aby w ostatniej zwrotce zagrozić do męstwa i nietracenia nadziei:

Zbudź się, Polaku, twój ratunek w czynie!  
Ufaj! los zmienny: jeszcze nic nie ginie.

A gdyś nieświadom, jaka losów wola,  
Wprzód nie rozstrzygaj, ustępując z pola!  
(Maciej Kazimierz Sarbiewski,  
*Liryki*, Oda V, księga czwarta)

A oto słowa, które w dobie zanikającej dumy narodowej kieruje ten warmiński jezuita do polskiej młodzieży (dla której książka była przeznaczona) trawstując myśl poety: „Powstań, o Polsko! ze snu śmiertelnego! Szczęście dziś nieobecne jest rzeczą odmienną. Rozbudź w sobie tego ducha walki, który w tobie płonął. Szczęście tylko mocnym zazwyczaj sprzyja. Hańbą nie do zmazania jest uprzedzać ucieczką losów wyroki i chcieć raczej ginąć aniżeli walczyć”. (Joannes Drews SJ. *Institutiones iuventutis*, Brunsbergae 1704, p. 361—362).

Polski patriotyzm warmińskich jezuitów, którego kuźnią było braniewskie *Hosianum*, a ekspozyturami kolegium reszelskie wraz z misją królewiecką i świętolipską — był jednak nie tylko (by użyć słów gdańskiego historyka XVIII w. Godfryda Lengnicha) „wołą, umiłowaniami i jakąś szczególną skłonnością do ścisłej z Polakami łączności”, ale również zdecydowanym w tym kierunku działaniem, mianowicie źródłem inspiracji dla tych politycznych dążeń społeczeństwa Prus Książęcych, które były przeciwne rozerwaniu związków z Polską.

Jest rzeczą dobrze znaną naszej historiografii, że katolików Prus Królewskich i Warmii cechowało szczególne przywiązanie do królów i Rzeczpospolitej. Mniej znana, lub raczej mniej podkreślana jest rola jezuitów warmińskich w przenoszeniu tego przywiązania na sąsiednie terytorium lenna Hohenzollernów. Należy tu przypomnieć, że kompetentny historyk nazwał pracujących w Królewcu jezuitów wręcz „pośrednikami w agitacji za Polską, na terenie Prus Książęcych”, a lękający się absolutyzmu kalwińskich Hohenzollernów miejscowi luteranie nie u kogo innego, tylko właśnie u nich (u jezuitów warmińskich) szukali poparcia dla swoich starań o pozyskanie króla.

W związku ze znaną sprawą mieszczańskiej opozycji w Królewcu, która wbrew fatalnemu traktatowi welawsko-bydgoskiemu (1657) usiłowała nie dopuścić do tego jednego z największych błędów w naszych dziejach, należy wspomnieć o odegranej tu przez jezuitów warmińskich roli, zwłaszcza przez o. Bernarda Rotha. Brał on czynny i istotny udział w akcji, której przewodził przywódca wspomnianej opozycji, słynny Hieronim Roth, rodzony brat jezuitę. Ciesząc się zaufaniem i poparciem Marii Ludwiki, wielokrotnie udawał się sam lub w towarzystwie Hieronima do Warszawy, by skłonić Jana Kazimierza do podania ręki pro-polskiej partii w Królewcu. Jezuita nie zaniechał swych zabiegów nawet wtedy, kiedy jego brat znalazł się w więzieniu, którego nie miał już nigdy opuścić. Niestety, myśl polityczna ostatniego z Wazów nie była zdolna do takiego „wyczucia istotnych nakazów polskiej racji stanu nad Bałtykiem”, na jakie stać było patriotycznie nastrojonych jezuitów warmińskich ze szkoły braniewskiego *Hosianum*.

Kończąc należy stwierdzić, że swą polskość Warmia w niemałej mierze zawdzięcza jezuitom, ale wraz z nimi także warmińskiemu duchowieństwu, które wychodziło z ich ręki. Nieprędko został wypłoszony przez pruską germanizację, zaszczerpiony przez jezuitów, polski duch w seminarium warmińskim. Nigdy zaś kult dla jego fundatora, wielkiego Polaka i znakomitego męża Kościoła, Stanisława Hozjusza.

DIE BEDEUTUNG DES BRANIEWER HOSIANUMS  
FÜR DEN ZUSAMMENSCHLUSS ERMLANDS MIT DER RZECZPOSPOLITA  
IM 16., 17. UND 18. JAHRHUNDERT.

ZUSAMMENFASSUNG

Das Fehlen des heutigen Ermlands und Masurens im Piastenstaat wirkte sich verhängnisvoll auf die Geschichte Polens aus, welches, anderthalb Jahrhunderte von der Ostsee abgeschlossen, vom Westen und vom Norden her von deutschen Staatsgebilden umklammert war. Die Wiedergewinnung des Zugangs zur See mit- samt dem Ermlande (1466), das von drei Seiten vom Gebiet des preussischen Lehens umfasst war, machte dessen Zusammenschluss mit den polnischen Kernlanden zur Aufgabe von höchster Wichtigkeit. Zweihundert Jahre lang (1564—1773) übte das durch Stanislaus Hosius gegründete Jesuitenkolleg in Braniewo ununterbrochen eine einigende Wirkung auf Ermland und das polnische Hinterland aus. Diese Wirkung ist dadurch ermöglicht worden, dass im Organisationssystem der Gesell- schaft Jesu die hosianische Stiftung von Anfang an sich innerhalb der Grenzen einer das ganze polnische Staatsgebiet umfassenden Ordensprovinz befand. Damit war das Kolleg einem Organismus eingegliedert, dessen Leben polnisch war. Zwei- hundert Jahre lang waren demnach die Mauern des Braniewer Kollegs ununter- brochen von diesem Leben erfüllt, das hinsichtlich der Sprache, der Kultur, der Gewohnheiten, der Überlieferung und des Patriotismus polnisch war, weil es pol- nischem Geiste entsprossen und auf polnischem Grund und Boden blühte. Dieser innerorganische geistige „Blutumlauf“ machte das Kolleg zum Exponenten polni- scher Kultur im Ermlande, wodurch jegliche Angleichung der Anstalt zugunsten des örtlichen nichtpolnischen Elements, das der Anknüpfung näherer Beziehungen zum polnischen Hinterlande nicht geneigt war, unmöglich gemacht wurde.